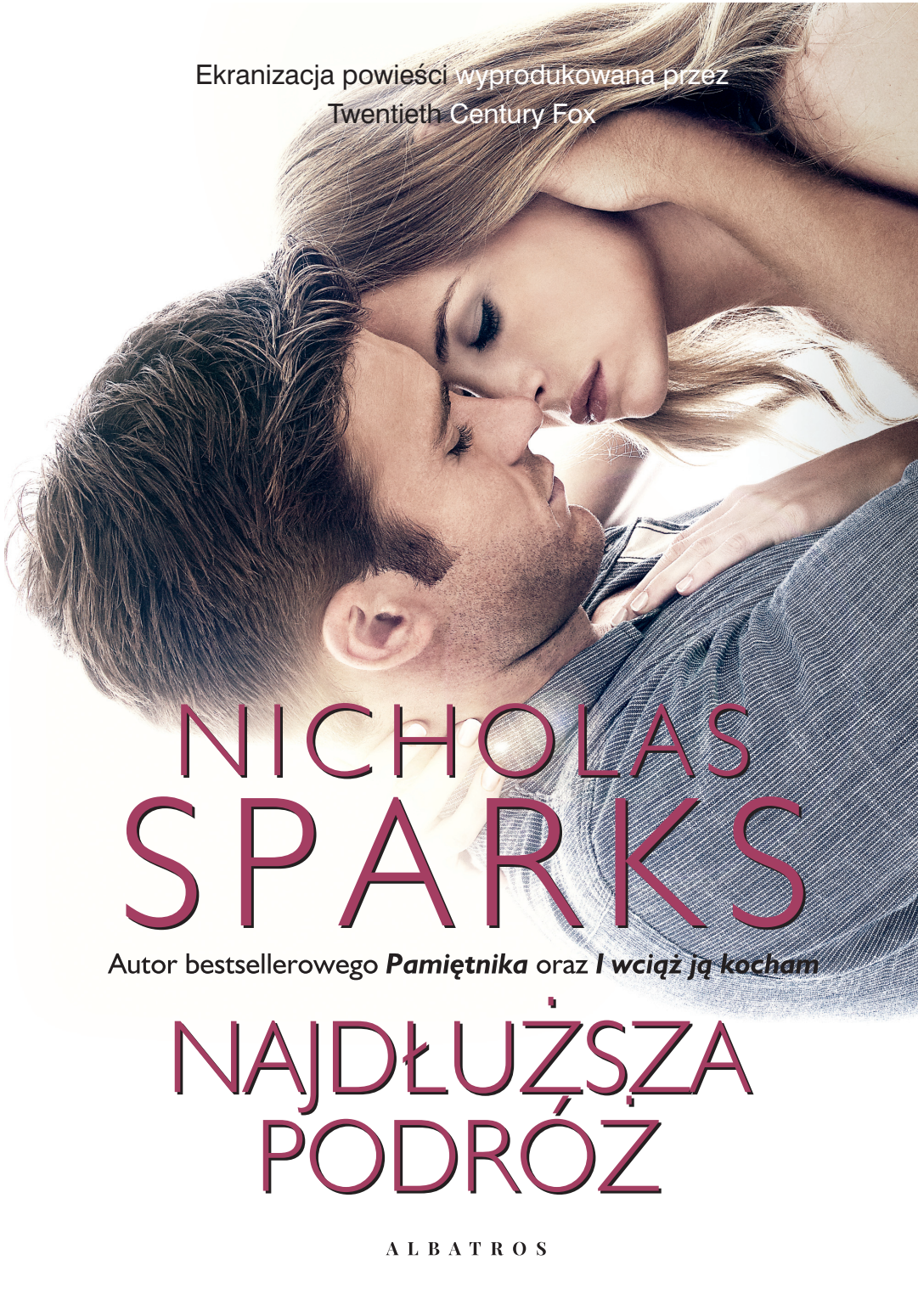


A romantic close-up of a man and a woman about to kiss. The man is in the foreground, looking towards the woman, who is slightly behind him. They are both smiling and looking at each other. The woman has long blonde hair and is wearing a white top. The man has short brown hair and is wearing a grey shirt. The background is a soft, out-of-focus light blue.

Ekranizacja powieści wyprodukowana przez
Twentieth Century Fox

NICHOLAS SPARKS

Autor bestsellerowego *Pamiętnika* oraz *I wciąż ją kocham*

NAJDŁUŻSZA PODROŻ

ALBATROS

1

Ira

Początek lutego 2011 roku

Tak sobie czasami myślę, że jestem ostatnim przedstawicielem wymierającego gatunku.

Nazywam się Ira Levinson. Jestem południowcem i Żydem i pęcznięję z dumy, kiedy od czasu do czasu ktoś nazwie mnie jednym albo drugim. Mam już swoje lata. Urodziłem się w 1920 roku. Zdelegalizowano wtedy alkohol, a kobietom przyznano prawa wyborcze, i podejrzewam często, że właśnie z tego powodu moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Jakkolwiek by na to spojrzeć, nigdy nie ciągnęło mnie do kieliszka i poślubiłem kobietę, która osiągnąwszy wymagany wiek, od razu stanęła w kolejce do lokalu wyborczego, żeby zagłosować na Roosevelta; łatwo pomyśleć, że data moich narodziń wpłynęła na mój los.

Ojciec wyśmiałby mnie, gdyby to usłyszał. On nie wierzył w zrządzenia losu, lecz wyznawał zasady. „Ira – mawiał, kiedy byłem podrostkiem i pomagałem mu w sklepie z odzieżą męską – ja ci teraz powiem, czego nigdy nie powinieneś robić”, no i mówił. Wyłuszczał swoje *Zasady życia*, jak je nazywał, a ja dorastałem, wysłuchując tych jego zasad na każdym kroku. Niektóre były natury moralnej, wywodziły się z mądrości Talmudu i, jak przypuszczam, nie odbiegały

od nauk, jakie wpaja swoim dzieciom większość rodziców. Dowiedziałem się, między innymi, że nigdy nie powinienem oszukiwać ani kraść, ale mój ojciec – żyd na pół gwizdka, jak sam siebie wówczas określał – bardziej skupiał się na sprawach praktycznych. Nigdy nie wychodził na deszcz bez czapki, pouczał mnie. Nigdy nie dotykał fajerek na piecu, bo mogą być wciąż gorące. Ostrzegł mnie też, żebym nigdy przy ludziach nie liczył pieniędzy, które mam w portfelu, ani nie kupował biżuterii od przekupnia, choćby proponował najlepszą cenę. Zakazy ciągnęły się w nieskończoność, ale pomimo ich chaotycznej natury, przestrzegałem chyba każdego, żeby nie robić mu przykrości. Jego głos rozbrzmiewał mi w uszach przez całą tę najdłuższą podróż, którą zwiemy życiem, i rozbrzmiewa po dziś dzień.

Nasłuchiwałem się także o powinnościach. Przede wszystkim ojciec oczekiwał ode mnie uczciwości i prawości we wszelkich aspektach życia, ale pouczał również, żebym zawsze puszczał przodem kobiety i dzieci, mocno i zdecydowanie ścisnął dłonie przy powitaniu i pożegnaniu, zapamiętywał imiona i nazwiska i zawsze dawał klientowi trochę więcej, niż się spodziewał. Z czasem uświadomiłem sobie, że te jego zasady nie tylko stanowiły kwintesencję filozofii, jaką wyznawał, ale też zdradzały, jakim był człowiekiem. Ponieważ wierzył w uczciwość i prawość, zakładał, że inni też w nie wierzą. Ponieważ wierzył w ludzką przyzwoitość, wychodził z założenia, że wszyscy są tacy jak on. Wierzył, że większość ludzi postawionych przed wyborem, postąpi właściwie, choćby wybór był trudny, i wierzył, że dobro prawie zawsze bierze górę nad złem. Ale nie był naiwny. „Ufaj ludziom – powtarzał mi – dopóki nie okażą się niegodni twojego zaufania. A przed takimi, którym przestałeś ufać, miej się na baczności”.

To przede wszystkim ojciec uczynił ze mnie człowieka, jakim dzisiaj jestem.

Ale wojna go zmieniła. A dokładniej, zmienił go Holocaust. Intelktualnie pozostał sprawny – wciąż potrafił w niecałe dziesięć minut rozwiązać calutką krzyżówkę z „New York Timesa” – stracił jednak wiarę w ludzi. Nie rozumiał już świata, który, jak mu się wydawało, tak dobrze zna. Dobijał sześćdziesiątki, wziął mnie więc na współnika i od tamtego czasu coraz rzadziej pokazywał się w sklepie. Zrobił się za to z niego żyd całą gębą. Razem z matką – o niej opowiem później – zaczął regularnie uczęszczać do synagogi i wspierać finansowo rozmaite żydowskie inicjatywy. W sabat nie kiwnął palcem. Śledził pilnie wieści docierające z Bliskiego Wschodu, gdzie powstawało państwo Izrael – potem z frontu arabsko-izraelskiej wojny, która w wyniku tego wybuchła – i zaczął przynajmniej raz w roku odwiedzać Jerozolimę, jakby szukał tam czegoś, co kiedyś nieświadomie zgubił. Im był starszy, tym bardziej niepokoiły mnie jego zamorskie wojaże, ale zapewniał mnie, że świetnie daje sobie radę, i przez wiele lat rzeczywiście dawał. Upływ czasu nie przytępił jego umysłu, gorzej było z kondycją fizyczną. W wieku dziewięćdziesięciu lat doznał zawału serca i chociaż doszedł do siebie, to siedem miesięcy później wylew odebrał mu władzę nad prawą stroną ciała. Ale nawet wtedy zarzekał się, że sobie poradzi. Mimo że chodził z balkonikiem, nie chciał słyszeć o domu spokojnej starości i chociaż błagałem go, żeby zwrócił prawo jazdy, nadal siadał za kierownicą. Kiedy mu tłumaczyłem, że to niebezpieczne, wzruszał tylko ramionami.

„A jakie ja mam inne wyjście? – odburkiwał. – Czym będę dojeżdżać do sklepu?”.

Umarł w końcu w łóżku miesiąc przed swoimi sto pierwszymi urodzinami, z prawem jazdy wciąż w portfelu i z rozwiązaną krzyżówką na stoliku nocnym. Żył długo, w ciekawych czasach, i ostatnio często go wspominam. Chyba nie bez kozery, bo podążam jego

śladami. Co rano, otwierając sklep, powtarzałem sobie w duchu jego *Zasady życia*, by zgodnie z nimi obsługiwać klientów. Zapamiętywałem ich nazwiska, dawałem więcej, niż się spodziewali, i po dziś dzień wychodzę z domu w czapce, kiedy zanoszą się na deszcz. Podobnie jak ojciec przeszedłem zawał serca i chodzę z balkonikiem, i chociaż nigdy nie przepadałem za krzyżówkami, umysł mam nadal wyostrzony. Podobnie jak ojciec zaparłem się, że nie oddam prawa jazdy. Co, jak się okazało, było z mojej strony błędem. Oddając je, oszczędziłbym sobie kłopotliwego położenia, w jakim się obecnie znajduję: wypadłem z drogi i mój samochód zatrzymał się na drzewie rosnącym w połowie stromej skarpy; uderzenie było tak silne, że maska złożyła się w harmonijkę. I nie musiałbym teraz fantazjować, że ktoś schodzi do mnie z termosem gorącej kawy, kocem i lektyką, na jakiej przenoszono z miejsca na miejsce faraona. Bo chyba nie ma co marzyć, że wydostanę się stąd o własnych siłach, a do tego żywy.

To naprawdę nie przelewki. Śnieg za strzaskaną przednią szybą wciąż sypie na potęgę, widok jest mglisty, zwodniczy. Po policzku ścieka mi krew, mam zawroty głowy i jak nic złamaną rękę. Obojczyk też chyba pęknięty. Cały bark pulsuje bólem, najmniejszy ruch to tortura. A ja, chociaż jestem w zimowej kurtce, tak przemarzłem, że dygoczę z zimna.

Nie ukrywam, że strach zagląda mi w oczy. Nie chcę jeszcze umierać. Przez długi czas zakładałem, że dzięki rodzicom – matka żyła dziewięćdziesiąt sześć lat – długowieczność mam w genach. Parę miesięcy temu byłem nawet przekonany, że zostało mi jeszcze dobrych sześć lat życia. No, może nie takich dobrych. W moim wieku to odpada. Spałem się od jakiegoś czasu – sercu, stawom, nerkom i innym częściom mojego ciała upływał powoli termin ważności – ale ostatnio doszło do tego coś jeszcze. Narośle w płucach, usłyszałem od lekarza. Guzy. Rak. Teraz od śmierci dzielą mnie nie lata, lecz

miesiące... ale mimo to nie jestem gotowy umierać już teraz. Już dziś. Mam jeszcze coś ważnego do załatwienia, coś, co – poczynając od roku 1956 – stanowi wielką doroczną tradycję, która właśnie dobiega końca, a ja przed odejściem muszę się przecież pożegnać.

Nie do wiary, co też roi się w głowie człowiekowi czującemu nadciągającą śmierć. Jednego jestem pewien – nie chcę wyczekiwać tej chwili, gdy bicie serca ustanie, rozdygotany, szczękający z zimna protezami zębowymi. Wiem, co się dzieje, kiedy ludzie umierają – byłem już na zbyt wielu pogrzebach. Gdybym mógł wybierać, to wołałbym raczej zejść we śnie, w swoim domu, we własnym wygodnym łóżku. Ludzie, którzy tak umierają, lepiej się po śmierci prezentują, postanawiam więc, że kiedy już na dobre zajrzy mi w oczy Ponury Żniwiarz, spróbuję się jakoś przeczłochać na tylne siedzenie. Tego by tylko brakowało, żeby znaleźli mnie tu, gdzie teraz siedzę, za kierownicą, zamrożonego na kość i przypominającego lodową rzeźbę. A w ogóle to jak mnie stąd wyciągną? Utknąłem między oparciem fotela a kierownicą jak fortepian w wąskich drzwiach, kiedy próbowali go wynieść z łazienki. Już sobie wyobrażam, jak jakiś strażak, mocując się z moimi zlodowaciałymi zwłokami, woła do kolegi: „Przekrzyw mu łeb w moją stronę, Steve!” albo „Weź dziadygę za ręce, Joe!”. Mój trup, szarpany i tarmoszony, popychany i ciągnięty, z głuchym łomotem wypada wreszcie z samochodu na ziemię. O, dziękuję, ja się na to nie piszę. Swoją godność jeszcze mam. Tak więc, jak już nadmieniłem, jeśli przyjdzie co do czego, postaram się przeczłochać na tylną kanapę, wyciągnę się na niej i zamknę oczy. Wtedy będą mnie mogli wysunąć z wozu jak mrożony paluszek rybny z opakowania.

Ale może do tego nie dojdzie. Może ktoś zauważy ślady opon prowadzące prosto na skraj skarpy, przy której biegnie szosa, i tam się urywające. Może ktoś się zatrzyma i zawoła z góry, może poświęci latarką i zobaczy wbity w drzewo samochód. To całkiem możli-

we; jeszcze nic straconego. Podczas śnieżycy ludzie zdejmują nogę z gazu. Na pewno ktoś mnie znajdzie. Muszą mnie znaleźć.

Muszą?

*

No, niekoniecznie.

Wciąż sypie. Wydycham małe obłoczki pary, jak smok, i z zimna cały jestem obolały. Ale mogło być gorzej. Kiedy ruszałem w drogę, śnieg jeszcze nie padał, ale było już mroźno, więc ciepło się ubrałem. Mam na sobie dwie koszule, sweter, rękawiczki i czapkę. Samochód stoi teraz pod kątem, przodem w dół. Jestem wciąż przypięty pasem bezpieczeństwa, który mnie podtrzymuje, lecz czoło mam wsparte na kierownicy. Poduszka powietrzna zadziałała, wypełniając wnętrze wozu tumanem białego pyłu i gryzącym zapachem prochu strzelniczego. Nie jest mi zbyt wygodnie, ale ujdzie.

Tylko to pulsowanie w całym ciele. Poduszka powietrzna, owszem, zadziałała, ale chyba nie tak jak należy, bo wyrznięłem głowę w kierownicę i straciłem na jakiś czas przytomność. Na jak długo, nie wiem. Z rozcięcia sączy się krew, a kości w prawej ręce jakby próbowały przebić się przez skórę. Pulsują mi bólem obojczyk i bark i boję się poruszyć. Wmawiam sobie, że mogło się skończyć gorzej. Śnieg nadal sypie, ale na zewnątrz nie jest znowu tak zimno. Dziś wieczorem temperatura ma spaść do minus pięciu stopni Celsjusza, ale jutro wzrośnie do prawie plus trzech. W nocy będzie też mocno wiało, w porywach do czterdziestu kilometrów na godzinę. Jutro, w niedzielę, wiać będzie jeszcze silniej, ale w nocy z niedzieli na poniedziałek pogoda zacznie się stopniowo poprawiać. Zimny front przejdzie i wiatr prawie zupełnie ustanie. We wtorek temperatura ma dojść do plus pięciu stopni.

Wiem to wszystko, bo oglądam Kanał Meteo. Jest mniej przy-

gnębiający od wiadomości i wciąga. Puszczają nie tylko prognozy pogody, ale również filmy o katastrofalnych skutkach anomalii pogodowych. Oglądam te reportaże – na przykład o ludziach, którzy przebywali w łazience, kiedy trąba powietrzna oderwała ich dom od fundamentów i poniosła лихо wie gdzie, albo o ludziach porwanych przez falę powodziową, którzy opowiadają, jak to ich ratowano z kipieli. Na Kanale Meteo pokazują zawsze ludzi, którzy z katastrof wyszli cało, i nic w tym dziwnego, bo tylko z takimi można przeprowadzać wywiady; z nieszczęśnikami, którym się nie udało, nie ma już o czym gadać. W zeszłym roku puścili materiał o mieszkańcach Chicago, których zaskoczyła śnieżycą, kiedy w godzinach szczytu wracali z pracy. Sypnęło tak mocno, że drogi momentalnie zrobiły się nieprzejezdne. Ugrzęzły na nich na osiem godzin tysiące ludzi, a temperatura przez cały czas spadała. Reporterom udało się dotrzeć z kamerą do jednego z uwięzionych w zaspach samochodów, w którym siedziało jakieś małżeństwo, i filmowali na bieżąco, jak sobie radzą z żywiołem, a mnie od razu uderzyło, że ci pechowcy są zupełnie nieprzygotowani na niepogodę. W szalejącej zamieci tracili ciepło i groziła im hipotermia. Niebywałe. Mieszkańcy Chicago wiedzą przecież, że śnieżycę to u nich nic nadzwyczajnego; w końcu mają za miedzą Kanadę, skąd czasami nadciągają zimne masy powietrza, i ani się człowiek obejrzy, a temperatura leci na łeb na szyję, i zaczyna padać śnieg. Jak mogą to lekceważyć? Gdybym ja tam mieszkał, już przed Halloween woziłbym w bagażniku grube koce, wełniane czapki, dodatkową zimową kurtkę, nauszniki, rękawice, łopatę, łatkę, ciepłe kalesony i zapas butelkowanej wody. Gdybym mieszkał w Chicago, śnieżycą mogłaby mnie uwięzić na wiele dni i dopiero po dwóch tygodniach zacząłbym się martwić.

Sęć w tym, że mieszkam w Karolinie Północnej. I zwykle – nie licząc dorocznego wypadu w góry, przeważnie latem – nie odjeżdż-

dżam od domu dalej niż na kilka kilometrów. Bagażnik mam więc teraz pusty, ale pociesza mnie trochę fakt, że nawet gdyby był wypełniony po brzegi artykułami pierwszej potrzeby, nic by mi to nie pomogło. Skarpa jest oblodzona i stroma i nawet za wszystkie skarby Tutanchamona nie dałbym rady się do niego wdrapać. Nie powiedziałbym jednak, że jestem kompletnie nieprzygotowany na to, co mi się przytrafiło. Zabrałem z domu termos z kawą, dwie kanapki, torebkę suszonych śliwek i butelkę wody. Położyłem ten zestaw podróżny na fotelu pasażera, obok listu, który wcześniej napisałem, i chociaż pod wpływem uderzenia w drzewo wszystkie te rzeczy rozleciały się po całym samochodzie, to pociesza mnie świadomość, że wciąż gdzieś tu się walają. Kiedy dostatecznie zgłodnieję, postaram się ich poszukać, ale już teraz rozumiem, z czym wiąże się jedzenie i picie. Co się skonsumuje, trzeba potem wydalić, a ja nie mam jeszcze pomysłu, jak niby miałbym przez to przebrnąć. Balkonik leży na tylnym siedzeniu, ale nawet gdyby udało mi się wygramolić z wozu, wdrapać tam przez tylne drzwi i go stamtąd wyciągnąć, to nie na wiele by mi się zdał na tej stromiźnie, zwłaszcza że cały jestem poturbowany. Nie, zew natury odpada.

Co do samego wypadku... Potrafiłbym chyba sfabrykować jakąś mrozącą krew w żyłach historyjkę o oblodzonej jezdni albo o piracie drogowym, który mnie zepchnął na pobocze, gdzie straciłem panowanie nad kierownicą i stoczyłem się po stromej skarpie, ale trzymajmy się lepiej faktów. A przedstawiają się one następująco: było już ciemno, zaczynał prószyć śnieg i nagle jak nie sypnie. Szosa w mgnieniu oka po prostu znikła. Zakładam, że zbliżyłem się do zakrętu – zakładam, bo żadnego zakrętu nie widziałem – i zaraz potem, przebiwszy barierkę ochronną, poleciałem na łeb na szyję w dół. Siedzę teraz sam, w ciemnościach, i zastanawiam się, czy Kanał Meteo zrobi kiedyś program o mnie.

Nic już nie widzę przez przednią szybę. Nie zważając na eksplozję bólu, wyciągam rękę bez większej nadziei i włączam wycieraczki. Ku mojemu zaskoczeniu ruszają, zaczynają odgarniać z szyby śnieg i po chwili pozostaje na niej tylko cienka warstewka lodu. Wyłączam je, bo szkoda akumulatora, z myślą o nim gaszę również reflektory, które przez cały czas miałem włączone. Tego by tylko brakowało, żeby się rozładował i żebym nie mógł nawet zatrąbić.

Poprawiam się w fotelu i błyskawica bólu przeszywa moją rękę od łokcia po obojczyk. Ciemnieje mi w oczach. Uf, nie zdzierzę. Zaciskam zęby i pojękując przez nie z cicha, czekam, aż przejdzie. Dobry Boże, litości. I staje się cud – ból zaczyna słabnąć. Oddech mi się wyrównuje, łzy nie napływają już do oczu, a kiedy rwanie w ramieniu całkiem ustaje, czuję się strasznie wyczerpany. Mógłbym teraz zasnąć i nigdy się nie obudzić. Zamykam oczy. Jestem bardzo, ale to bardzo zmęczony.

Dziwna rzecz; przyłapuję się na tym, że myślę o żonie Daniela McCalluma i o popołudniu, kiedy mnie odwiedziła. Przypomina mi się prezent, który zostawiła, i odpływając w sen, zastanawiam się, ile też czasu będzie musiało minąć, zanim mnie tu znajdą.

*

– Ira – słyszę przez sen; głos jest jakiś rozmyty, zniekształcony, jakby wydobywał się spod wody, i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że ktoś wypowiada moje imię.

Ale to przecież niemożliwe.

– Obudź się, Ira.

Otwieram oczy, mrugam. W fotelu pasażera obok mnie siedzi Ruth, moja żona.

– Ja nie śpię – mamroczę, nie odrywając czoła od kierownicy.

Zerkam na Ruth z ukosa. Bez okularów, które w chwili zderzenia z drzewem zleciały mi z nosa, widzę ją niewyraźnie; kontury ma rozmazane, wygląda jak duch.

– Wypadłeś z drogi.

Znowu mrugam.

– Jakiś wariat mnie zepchnął, a potem wpadłem w poślizg. Mogłem skończyć gorzej, gdyby nie mój koci refleks.

– Wypadłeś z drogi, bo jesteś ślepy jak kret i za stary, żeby prowadzić. Ile razy mam ci powtarzać, że za kierownicą stajesz się zagrożeniem dla innych.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś.

– A powinnam była. Nie zauważyłeś nawet zakrętu. – Zawiesza głos. – Krew ci leci.

Unoszę głowę, przecieram czoło zdrową ręką, patrzę – czerwona. Krew jest na kierownicy i na desce rozdzielczej, wszędzie czerwone plamy.

– Wiem.

– Masz złamaną rękę. I pęknięty obojczyk. Z barkiem też coś nie w porządku.

– Wiem – powtarzam. Z każdym mrugnięciem Ruth rozwiewa się w powietrzu i na chwilę znika.

– Musisz jechać do szpitala.

– Na to wygląda – mówię.

– Martwię się o ciebie.

Tak naprawdę mojej żony, Ruth, nie ma w samochodzie. Umarła przed dziewięćmi laty i w dniu jej śmierci zawałił się mój świat. Zawołałem do niej z salonu, a kiedy nie odpowiadała, dźwignąłem się z fotela. Poruszałem się jeszcze wtedy bez balkonika, ale z trudem. Doczłapawszy do sypialni, zobaczyłem ją leżącą na prawym boku

obok łóżka. Wezwałem pogotowie, ukląknęłam przy niej, przekręciłem na plecy i poszukałem pulsu na szyi. Był niewyczuwalny. Pochyliłem się i zacząłem jej robić sztuczne oddychanie, tak jak pokazywali w telewizji, ale bez rezultatu. Dałem w końcu za wygraną, pocałowałem ją w usta i w oba policzki i do przyjazdu karetki tuliłem jej głowę do piersi. Ruth, moja żona od ponad pięćdziesięciu pięciu lat, umarła i wraz z nią w mgnieniu oka odeszło wszystko, co kochałem.

– Co cię tu sprowadza? – zagaduję.

– Też pytanie. Ty.

No tak, a cóż by innego.

– Długo spałem?

– Nie wiem – odpowiada. – W każdym razie ciemno już. A tobie pewnie zimno.

– Zimno to mi jest zawsze.

– Ale nie aż tak.

– Fakt – przyznaję – aż tak to nie.

– Co robiłeś na tej drodze? Dokąd jechałeś?

Chętnie bym się poprawił w fotelu, ale powstrzymuje mnie wspomnienie błyskawicy bólu.

– Przecież wiesz.

– Wiem – mówi. – Jechałeś do Black Mountain. Spędzaliśmy tam miesiąc miodowy.

– Chciałem tam jeszcze raz zajrzeć. Jutro rocznica.

Zastanawia się przez chwilę.

– Miesza ci się w głowie. Pobraliśmy się w sierpniu, nie w lutym.

– Nie o tę rocznicę mi chodzi – wyjaśniam. Nie mówię jej, że lekarz nie przewiduje, bym dociągnął do sierpnia. – Mamy jeszcze jedną.

– Co ty pleciesz? Jaką znowu?
– Rocznicę dnia, w którym moje życie na zawsze się odmieniło – oświadczam uroczyście. – Dnia, w którym po raz pierwszy cię zobaczyłem.

Ruth nie odzywa się przez chwilę. Wie, że mówię poważnie, ale jej coś takiego nie przeszłoby przez gardło. Kochała mnie namiętnie, lecz poznawałem to jedynie po wyrazie jej twarzy, po pieszczotach, po czułych muśnięciach wargami. W skrajnych zaś przypadkach wyznawała mi swoją miłość na piśmie.

– Był szósty lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku – ciągnąłem. – Robiłyście z twoją matką, Elisabeth, zakupy w śródmieściu i zaszyłyście do naszego sklepu. Ona chciała kupić twojemu ojcu kapelusz.

Ruth, nie odrywając ode mnie oczu, odchyła się na oparcie fotela.

– Wyszedłeś z zaplecza – mówi. – A zaraz za tobą twoja matka. Tak, przypominam sobie, matka wyszła zaraz za mną. Ruth do końca swoich dni miała fenomenalną pamięć.

Rodzina Ruth, podobnie jak rodzina mojej matki, pochodziła z Wiednia, ale wyemigrowała stamtąd do Karoliny Północnej dopiero przed dwoma miesiącami. Uciekli z Wiednia po przyłączeniu Austrii do Rzeszy. Ojciec Ruth, Jakob Pfeffer, profesor historii sztuki, doskonale rozumiał, co oznacza dla żydów dojście Hitlera do władzy. Wyprzedał cały majątek, żeby mieć na łapówki niezbędne, by wywieźć rodzinę z kraju. Przez Szwajcarię przedostali się do Londynu, stamtąd do Nowego Jorku, by ostatecznie osiąść w Greensboro. Jeden z wujów Jakoba miał zakład stolarski kilka przecznic od sklepu mojego ojca i przez wiele miesięcy rodzina Ruth gnieździła się w dwóch klitkach nad warsztatem. Ruth opowiadała mi potem, że nie mogła spać po nocach przez unoszące się stamtąd opary pokostu.

– Zaszliśmy do waszego sklepu, bo wiedzieliśmy, że twoja matka zna niemiecki. Powiedziano nam, że może nam pomóc. – Ruth kręci głową. – Tak tęskniłyśmy za krajem, za kontaktem z kimś stamtąd.

Kiwam głową. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Matka wszystko mi opowiedziała, kiedy wyszłyście. Musiała. Nie zrozumiałem ani słowa z waszej rozmowy.

– Trzeba się było uczyć niemieckiego od matki.

– A po co? Nie wyszłyście jeszcze ze sklepu, a już wiedziałem, że pewnego dnia się pobierzemy. I będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy.

– Wciąż to powtarzasz, a ja i tak ci nie wierzę. Nawet na mnie nie spojrzaleś.

– Nie mogłem. Byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. To tak, jakby patrzeć w słońce.

– Oj, nie przesadzaj z tą pięknością – fuka Ruth. – Byłam jeszcze dzieckiem. Miałam dopiero szesnaście lat.

– A ja skończyłem właśnie dziewiętnaście. I na moje wyszło.

– Tak – Ruth wzdycha – wyszło na twoje.

Naturalnie, już wcześniej widywałem Ruth i jej rodziców. Przychodzili do naszej synagogi i siadali w pierwszych rzędach – obcy w obcym kraju. Matka pokazywała mi ich dyskretnie, kiedy po nabożeństwach opuszczali spieszenie świątynię, by jak najszybciej znaleźć się z powrotem w domu.

Ja uwielbiałem sobotnie poranne powroty z matką z synagogi. Miałem ją wtedy tylko dla siebie i byłem wniebowzięty. Tematów do rozmowy mieliśmy zawsze bez liku i przechodziliśmy swobodnie z jednego do następnego. Mogłem zwierzyć się jej z każdego problemu, zadać każde pytanie, jakie przyszło mi do głowy, nawet takie, które ojciec uznałby za bezsensowne. Ojciec był od udzielania rad,

matka od dodawania otuchy. On nigdy nam nie towarzyszył; wołał w soboty otwierać sklep wcześniej, licząc na większy w weekendy ruch w interesie. Matka go rozumiała. Nawet ja zdawałem sobie już wtedy sprawę, że to walka o przetrwanie, o to, żeby w ogóle było co otwierać. Wielki kryzys, w którym pogrążył się kraj, nie oszczędził również Greensboro i bywały dni, kiedy do sklepu nie zaglądał nikt. Bezrobocie osiągało zastraszające rozmiary, wielu głodowało. Po darmową zupę z garkuchni i chleb ustawiały się długie kolejki. Wiele miejscowych banków poszło na dno razem z oszczędnościami klientów. Ojciec należał do tych, którzy w czasach prosperity odkładają na czarną godzinę, ale rok 1939 był trudny nawet dla niego.

Matka od początku pomagała ojcu w sklepie, ale rzadko stawiała za ladą, by obsługiwać klientów. Mężczyźni – a ci stanowili większość klientów – woleli w tamtych czasach męską pomoc zarówno przy wyborze ubrań, jak i w ich dopasowywaniu. Jednak matka nigdy nie zamykała drzwi od zaplecza i widziała stamtąd każdego klienta. Trzeba jej przyznać, że krawcową była genialną. Ojciec naciągał i podciągał materiał, robiąc kredą znaki w stosownych miejscach, ale matce wystarczył jeden rzut oka i już wiedziała, czy wprowadzać poprawki sugerowane przez ojca. Oczywiście wyobraźni widziała klienta w dopasowanym garniturze, z uwzględnieniem kroju, każdej zmarszczki, każdego szwu. Ojciec o tym wiedział i dlatego ustawiał lustro tak, żeby ich widziała. Niektórzy mężczyźni czują się zagrożeni talentem żony, jednak ojciec był dumny z matki. Jedną z jego *Zasad życia* brzmiała: jak już masz się żenić, to tylko z kobietą mądrzejszą od ciebie. „Ja tak zrobiłem – mawiał – i ty też powinieś. Po co miałbyś główkować sam?”.

Matka, trzeba przyznać, była inteligentniejsza od ojca. Choć nigdy nie opanowała sztuki gotowania – powinno się jej było zakazać wstępu do kuchni – to znała cztery języki i potrafiła cytować

po rosyjsku Dostojewskiego; była znakomitą pianistką i ukończyła Uniwersytet Wiedeński w czasach, kiedy studentek było tam jak na lekarstwo. Ojciec natomiast wyższym wykształceniem pochwalić się nie mógł. Podobnie jak ja, od szczenięcych lat pomagał swojemu ojcu w sklepie z odzieżą męską, był dobry w rachunkach i miał podejście do klientów. I podobnie jak ja, po raz pierwszy zobaczył swoją przyszłą żonę w synagodze wkrótce po tym, jak zamieszkała w Greensboro.

Ale na tym podobieństwa się kończą, bo często się zastanawiam, czy moi rodzice byli ze sobą szczęśliwi. Owszem, pobierali się w innych czasach, kiedy ślub brało się nie tyle z miłości, ile z rozsądku. Nie twierdzę jednak, że zupełnie do siebie nie pasowali. Byli zgodnym małżeństwem i nigdy nie słyszałem, żeby się kłócili. Ale nie mam pewności, czy kiedykolwiek tak naprawdę się kochali. Przez wszystkie te lata, jakie z nimi przemieszkałem, nie widziałem nigdy, żeby się pocałowali albo wzięli za ręce. Wieczorami ojciec ślezczał w kuchni nad księgami rachunkowymi, a matka czytała książkę w salonie. Miałem nadzieję, że kiedy przejdą na emeryturę, bardziej się do siebie zbliżą. Że będą razem jeździli po świecie, zwiedzali, ale po pierwszej wyprawie do Jerozolimy ojciec już zawsze podróżował sam. Żyli każde swoim życiem, coraz bardziej się od siebie oddalając, stając się na powrót obcymi sobie ludźmi. Kiedy oboje przekroczyli osiemdziesiątkę, można było odnieść wrażenie, że już nic nie mają sobie do powiedzenia. Potrafiliby przesiedzieć kilka godzin w jednym pokoju, nie odzywając się ani słowem. Kiedy odwiedzaliśmy ich z Ruth, rozmawialiśmy najpierw z jednym, potem z drugim, a w samochodzie Ruth ścisnęła mnie za rękę, tak jakby obiecywała sobie w duchu, że my nigdy tak nie skończymy.

Ruth przejmowała się ich wzajemnymi stosunkami chyba bardziej niż oni sami. Rodzice nie przejawiali specjalnej ochoty, żeby

przerzucić most nad przepaścią, która coraz bardziej ich dzieliła. Dobrze im było we własnych małych światkach. Z wiekiem ojciec coraz bardziej wracał do korzeni, matka zaś rozsmakowała się w ogrodnictwie i godzinami pielila rabatki kwiatowe w ogrodzie za domem. Ojciec oglądał pasjami stare westerny i wieczorne wiadomości, matka miała swoje książki. No i, rzecz jasna, interesowali się oboje dziełami sztuki, które zbieraliśmy z Ruth i dzięki którym w końcu się wzbogaciliśmy.

*

– Potem długo nie zaglądałaś do naszego sklepu – mówię do Ruth.

Śnieg wciąż pada, zasypał już znowu przednią szybę. Na Kanale Meteo zapowiadano, że do tej pory pogoda powinna się wyklarować, ale pomimo tych wszystkich cudów nowoczesnej techniki i metod prognozowania, na synoptykach nadal nie można polegać. To jeszcze jeden powód, dla którego oglądanie Meteo tak mnie wciąga.

– Mama kupiła ojcu ten kapelusz. Na nic więcej nie mieliśmy pieniędzy.

– Ale wpadłem ci w oko.

– Niespecjalnie. Miałeś za duże uszy. Mnie się podobają małe i kształtne.

Z tymi uszami to prawda. Mam duże i odstające, po ojcu. Jemu to nie przeszkadzało, a ja zawsze się ich wstydziłem. Mając osiem, może dziewięć lat, zwędziłem ze sklepu długi ścinek materiału i do jesieni, kładąc się spać, obwiązywałem nim sobie głowę z nadzieją, że uszy bardziej przylgną mi do czaszki. Matka to ignorowała, ale podsłuchiłem kiedyś, jak ojciec szepce do niej urażonym tonem: „Przecież on ma moje uszy. Czy z moimi uszami coś jest nie tak?”.

Kiedy wkrótce po ślubie powiedziałem o tym Ruth, skręcała się

ze śmiechu. Od tamtego czasu pokpiwała sobie często, tak jak teraz, z tych moich uszu, ale z wyczuciem, żeby mnie nie urazić.

– A ja myślałem, że moje uszy ci się podobają. Tak je zawsze obcałowywałaś...

– Podobała mi się twoja twarz. Dobrze ci z oczu patrzyło. Po prostu przytrafiły ci się duże uszy.

– Dobrze mi z oczu patrzyło?

– Mhm. Była w nich jakaś łagodność, tak jakbyś widział w ludziach samo dobro. Od razu to zauważyłam, chociaż nawet na mnie nie spojrzaleś.

– Zbierałem się na odwagę, żeby spytać, czy mogę cię odprowadzić do domu.

– Nie. – Ruth kręci głową. Widzę ją jak przez mgłę, ale głos ma młodzieńczy. To głos szesnastolatki, którą dawno, dawno temu poznałem. – Potem często widywałam cię w synagodze i nigdy mnie o to nie spytałeś. Czasami czekałam na ciebie po nabożeństwie, ale ty mijaleś mnie bez słowa.

– Nie znałaś angielskiego.

– Wtedy już co nieco rozumiałam i nawet sama potrafiłam coś wydukać. Gdybyś zapytał, powiedziałabym: „Okay, Ira, możesz mnie odprowadzić”.

Te ostatnie słowa wypowiada z charakterystycznym akcentem. Wiedeńskim, łagodnym i śpiewnym. Melodyjnym. Z czasem pozbyła się tego akcentu, ale nie do końca.

– Twoi rodzice by się nie zgodzili.

– Matka by się zgodziła. Lubiła cię. Twoja matka powiedziała jej, że kiedyś przejmiesz interes.

– Wiedziałem! Zawsze podejrzewałem, że wyszłaś za mnie dla pieniędzy.

– Jakich pieniędzy? Byłeś golcem. Gdybym chciała wyjść za bogatego, poślubiłabym Davida Epsteina. Jego ojciec miał przedsiębiornię bawełny i mieszkali w okazałej rezydencji.

To też był w naszym małżeństwie jeden z wielu tematów do przekomarzań. Moja matka mówiła prawdę, ale dobrze wiedziała, że na rodzinnym interesie nie zbiję kokosów. To był tylko nieduży sklep, który w końcu, przechodząc na emeryturę, sprzedałem.

– Pamiętam, jak widywałem was dwoje w kolejce ze słodkimi napojami po drugiej stronie ulicy. Spotykałaś się tam w lecie z Davidem prawie codziennie.

– Smakował mi czekoladowy z bąbelkami. Nigdy wcześniej takiego nie piłam.

– Byłem zazdrosny.

– Miałeś prawo. Bogaty, przystojny absztyfikant z idealnymi uszami.

Uśmiecham się. Szkoda, że nie widzę jej wyraźniej. Ale po ciemku to niemożliwe.

– Myślałem już, że się pobierzecie.

– Prosił mnie o rękę, i to wielokrotnie, ale za każdym razem odpowiadałam, że jestem jeszcze za młoda i będzie musiał poczekać, aż skończę college. Ale zwodziłam go tylko. Prawda była taka, że już wtedy wpadłeś mi w oko. To dlatego umawiałam się z nim w kafejce naprzeciwko sklepu twojego ojca.

Dobrze o tym wiedziałem. Ale lubiłem słuchać, jak to mówi.

– Sterczałem w oknie i gapiłem się, jak ze sobą rozmawia.

– Czasami cię widziałam. – Ruth się uśmiecha. – Raz ci nawet pomachałam, ale i tak nie próbowałaś zawrzeć ze mną bliższej znajomości.

– David był moim przyjacielem.

Nie przesadzałem. Po ślubie wciąż przyjaźniliśmy się z Davidem i jego żoną Rachel, a Ruth uczyła jedno z ich dzieci.

– To nie miało nic wspólnego z przyjaźnią. Bałeś się do mnie podejść, i tyle. Zawsze byłeś nieśmiały.

– Chyba mylisz mnie z kimś innym. Byłem uroczym podrywaczem, takim młodym Frankiem Sinatrą. Kobiety za mną szalały, opędzić się od nich nie mogłem.

– Mijając mnie, spuszczałeś wzrok i czerwieniłeś się jak burak, kiedy do ciebie pomachałam. A potem, w sierpniu, wyjechałeś na uczelnię.

Tak, wyjechałem na studia w College of William and Mary w Williamsburgu w stanie Wirginia. Do domu wróciłem dopiero w grudniu. Przed powrotem do Williamsburga widziałem Ruth dwa razy, z daleka, w synagodze. W maju przyjechałem znowu i przez całe lato pomagałem ojcu w sklepie. W Europie szalała już druga wojna światowa. Po podbiciu Polski i Norwegii, zajęciu Belgii, Luksemburga i Holandii Hitler gromił Francję. W gazetach pisano tylko o wojnie, tylko o niej rozmawiano. Nikt nie wiedział, czy Ameryka do niej przystąpi, i nastroje były ponure. Za kilka tygodni Francja miała ponieść klęskę.

– Kiedy wróciłem, nadal spotykałaś się z Davidem.

– Ale zaraz po twoim wyjeździe zaprzyjaźniłam się z twoją matką. Kiedy mój ojciec był w pracy, wychodziłyśmy z mamą z domu i szłyśmy do waszego sklepu. Wspominałyśmy z twoją matką Wiedeń i stare dobre czasy, kiedy tam mieszkaliśmy. Bardzo za nimi z mamą tęskniłyśmy, a ja na dodatek byłam zła. Nie podobało mi się w Karolinie Północnej. Nie podobał mi się cały ten kraj. Obco się tutaj czułam. Wojna wojną, ale ja chciałam wracać do siebie. Chciałam pomagać rodzinie, która tam została. Bardzo się o nich martwiliśmy.

Ruth milknie i kątem oka widzę, że spogląda w okno. Wiem, że myśli o swoich dziadkach, ciotkach, wujach i kuzynach. W przeddzień wyjazdu Ruth do Szwajcarii cała ich liczna rodzina zebrała się na pożegnalnej wieczerzy. Przy stole były życzenia pomyślności na nowej drodze życia, zapewnienia o utrzymaniu kontaktu, ale prawie wszyscy biesiadnicy, choć szczerze przejęci decyzją ojca Ruth o emigracji, myśleli, że to nie tylko przesada, ale wprost głupota rzucać wszystko i wybierać niepewną przyszłość na obczyźnie. Jednak kilkoro z nich wsunęło dyskretnie ojcu Ruth w garść trochę złotych monet, dzięki którym przetrwali te sześć tygodni, jakie zajęła podróż do Karoliny Północnej. Wyjechali tylko oni. Reszta rodziny została w Wiedniu. W lecie 1940 roku nosili już na rękawach opaski z gwiazdą Dawida i nie mieli pracy. Ale wtedy było za późno na ucieczkę.

Matka mówiła mi o tych wizytach Ruth z matką i ich obawach. Ona też nadal miała rodzinę w Wiedniu, ale podobnie jak wielu nie wiedzieliśmy jeszcze, co nadciąga ani jak strasznie się tam w końcu zrobi. Przewidział to zawczasu tylko ojciec Ruth i w porę ratował się ucieczką. Był najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego dane mi było poznać.

– Twój ojciec robił wtedy meble?

– Tak – mówi Ruth. – Nie chciał go zatrudnić żaden uniwersytet, a przecież musieliśmy z czegoś żyć. To był dla niego trudny okres. Nie miał drygu do stolarstwa. Z początku wracał z pracy skonanym, z trocinami we włosach i obandażowanymi dłońmi, osuwał się na pierwsze lepsze krzesło i zasypiał na siedząco. Ale ani razu się nie poskarżył. Wiedział, że jesteśmy szczęściarzami. Po przebudzeniu brał prysznic, przebierał się w garnitur i jak za nie tak dawnych dośrodków czasów siadaliśmy do kolacji. Prowadziliśmy przy stole ożywione dysputy. Ojciec pytał, czego nauczyłam się w szkole, i uważ-

nie wysłuchiwał moich relacji. „Dlaczego, według ciebie, tak jest?”, pytał. „Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?”. Wiedziałam, naturalnie, czemu to robi. Był urodzonym nauczycielem, i to dobrym. Po wojnie wrócił na uczelnię. Tam, jako wykładowca z tytułem profesorskim, był w swoim żywiole. Nauczył mnie, tak jak wszystkich swoich studentów, samodzielnego myślenia i wiary w to, co podszeptują instynkty.

Przyglądam się jej i nachodzi mnie refleksja, że to za sprawą ojca Ruth również została nauczycielką. I znowu przypomina mi się Daniel McCallum.

– I dzięki niemu rozsmakowałaś się w sztukach pięknych.

– Tak – przyznaje Ruth z nutką przekory w głosie. – Między innymi.